

BIBLIOTECKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO
TOMIK III

ADAM WYSOKIŃSKI
PORUCZNIK

BAJKI I PRAWDY O KARABINIE

Z 10 ILUSTRACJAMI
MJR. S. G. A. NAŁĘCZ-KORZENIOWSKIEGO



WARSZAWA 1928
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

Skoczkowska

BIBLIOTECKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO
TOMIK III

ADAM WYSOKIŃSKI
PORUCZNIK

100

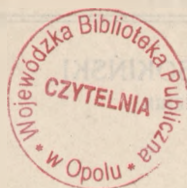
BAJKI I PRAWDY O KARABINIE

Z 10 ILUSTRACJAMI

MJR. S. G. A. NAŁĘCZ-KORZENIOWSKIEGO

WARSZAWA 1928

WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY



CM 313663

Druk. S. G. Nr. 597. 5000. 18.XI.27.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 128 /2011/ CM

Dobra wróżka.

Wszystko zaczęło się od tego, że starszy szeregowiec Czarnecki pomylił się parę razy, rozkładając części rozebranego karabina do oddzielnych skrzynek. Dzięki temu trzon zamkowy znalazł się w towarzystwie podajnika, a zameczek wpadł do skrzynki z bączkami.

Ale starszy szeregowiec Czarnecki dowiedział się tego dnia, że został przedstawiony do awansu na kaprała, i w chwili, kiedy robił porządek w podręcznym magazynie zbrojowni, paradował już w myśli po parku miejskim ze ślicznymi nowymi naszywkami. Nie mógł też długo usiedzieć i poleciał podzielić się nowiną z kolegami. Kiedy wychodził, cicho było w magazynie, tylko muchy w oknach brzęczały; ale ledwo drzwi się za nim zamknęły, na wszystkich półkach zaczął się ruch i gwar.

Bo, jak dobrze wiecie, przedmioty, które nas otaczają, tylko przy ludziach udają martwe, ale gdy zostaną same, gadają i ruszają się nie gorzej niż my. Dlaczego w obecności człowieka tego nie robią, nie potrafię wam wytłumaczyć; pewno dla-



...paradował w myśli po parku miejskim...

tego, że gdybyście widzieli nawet coś podobnego, to nie chcielibyście uwierzyć.

Największy hałas powstał w skrzynce z podajnikami.—Jeszcze nigdy nie byłem w towarzystwie takich łazików! — złościł się trzon.

Podajniki nie były też zachwycone swoim gościem, a jeden, śmielszy syknął. — To się wynoś, kiedyś taki bohater! — Ale trzon nie mógł wyskoczyć, bo ściany skrzynki były zbyt wysokie, więc krzyknął tylko w pasji. — Milczcie głupie popychadła!

Podajniki aż posiniały z oburzenia, jak tylko dobra stal potrafi posinieć, a jeden zawołał: — Dużo byś kaleko z jedną gałką zrobił, gdyby nie my; a kto ci naboje podsuwa?

— Nie wy podsuwacie, a sprężyna was popycha!

— A ciebie nikt nie popycha, sam się ruszasz?

— Ja to co innego. Mnie sam pan plutonowy bierze za gałkę, gdy powtarza karabin.

-- Nie wiele by powtarzanie pomogło, gdybyśmy ci nie podsunęli naboju — mruknęła sprężyna podajnika z sąsiedniej skrzynki. — A ja też sama nie bym nie wskórała, gdybym się nie oparła o wieczko.

— Oj dzieci, dzieci — westchnęło pudełko — chwalcie się i kłóćcie, a przecież to ja i was, i naboje chowam w sobie i prowadzę. A w dodatku

mój kabłąk musi pilnować spustu, żeby go ktoś niechcący nie ściągnął.

— Bo też ja jestem najważniejszy! — pysznił się spust. — To mnie pan plutonowy naciska palcem kiedy chce strzelać.

— No i cóż wielkiego — mówił zaczep kurkowy. — Póki ja się nie odchylę, strzał nie padnie. Przecież na mym zębie kurek się opiera, a kurek trzyma iglicę.

— Ale to ja ściągam twój ząb wdół — spierał się spust.

— Ale ja trzymam sprężynę w napięciu. Żebyś wiedział jak mnie bestja napiera. Oparła się jednym końcem o zameczek, a drugim o krezę igliczną i pcha iglicę i kurek wprzód. Muszę ją z całej siły powstrzymywać. Kiedy zwolnię kurek, lecą oboje wraz z iglicą jak szaleni.

— Co dobrze was pędzę? — pytała sprężyna igliczna i z zadowolenia zaczęła w swojej skrzynce podskakiwać.

— Zupełnie zwarjowała — odezwał się milczący dotąd bezpiecznik. Narobiłaby nieraz bigosu, żebym nie pilnował bezpieczeństwa i porządku.

— Ale to bardzo przyjemnie tak lecieć — mówiła smukła iglica. — Walę naprzód i uderzam grotem w spłonkę. Słychać wielki huk i po chwili pocisk wylatuje z lufy.

— A niech się trafi jakiś strzelec, jak to mówią nerwowi — zaśmiał się spust — i niech mnie

z wielkiego wzruszenia za wcześnie naciśnie! Zaraz mu splątamy figla. Ja obrócę się koło swej osi, odepchnę garbami od spodu obsady i ściągnę zaczep kurka wdół.

— A ja zwolnię kurek i strzał padnie, zanim karabin został ustawiony na cel — chichotał zaczep. — „Bazant” robi się czerwony jak burak, bo pokazują mu tarczę albo niebo.

— Tak, tak — mówił już spokojniej trzon. — Jeśli chcesz bracie służyć w wojsku, to lepiej pozbądź się nerwów. Teraz się trochę zirytowałem, ale wogóle jestem bardzo spokojny. Pan plutonowy obraca mnie i porusza wprzód i wtył, a ja wykonuję wszystkie najważniejsze prace. Kiedy zamek jest otwarty, a karabin naładowany, pan plutonowy popycha mnie ku przodowi....

— Wtedy ja podsuwam nabój — wyrwał się znów podajnik.

— Milcz głupi, kiedy starsi mówią — ofuknął go trzon. — Wtedy naciskam czółkiem podsunęty nabój i wprowadzam go do komory. Niezdarne to nieraz jak rekrut, co pierwszy raz na linkę włoży i niedaleko by zaszedł, gdyby go podajnik i ściany pudełka i obsady nie prowadziły. W ostatniej chwili, kiedy go dociskam, pazur mój odchyła się i zaskakuje za krezę łuski. Teraz mnie pan plutonowy przekręca wprawo i rygle moje chwytają za skośne zaczepy w komorze zaporowej. Dociskam wtedy stopę łuski z całej siły, bo za chwilę

jeśli iglica zbije spłonkę i padnie strzał, to wszystkie gazy we mnie uderzą. Ciepło się wtedy robi, bo to i ciśnienie szalone jakbyś parę tysięcy kilo na czółku dźwigał i gorąco takie, że głupia cyna dawno by się stopiła. Nieraz trochę tych gazów i do mnie się dostanie, ale mam dwa okienka w dole, żeby je wypuścić. Zdarza się też czasem, że moje rygle tego parcia nie wytrzymują, ale to nie moja wina, a fabryki, że złą stal dała. Mam zresztą na wszelki wypadek w tyle jeszcze jeden rygiel zapasowy.

— Najgorsze to są niewypały — odezwała się iglica. — Ale to też nie z mojej winy się dzieje. Wyrznię grotem w spłonkę z całej siły — a tu nic — bo spłonka nie w porządku. Taki bażant otwiera zaraz zamek i wtyka nos, akurat w chwili kiedy może nastąpić spóźniony wypał. Gazy buchają do tyłu, wyrywają zamek a Maćkowi parzą gębę. Jeżeli chłopak jest mądry, to po niewypale zaczeka zawsze parę minut i wtedy dopiero zamek otworzy.

— Nie zawsze na mądrego się trafi — mruknął trzon. — A w polu człowiek w gorączce, nie bardzo się zastanawia. Ale ty też potrafisz zrobić niewypał, choć amunicja jest dobra.

— To tylko wtedy, kiedy grot mój za mało z czółka wystaje — zawołała żywo zawstydzona iglica. — Ale na to tylko rusznikarz może poradzić.

— Słuchajcie dalej, bo to dopiero połowa mojej pracy — prawil trzon. — Kiedy pan plutonowy sciagnal spust i padl strzal, w komorze zostala wystrzelona luska. Musze ja co prędezej wyciągnac, bo i lufa sie niszczy, jezeli gazy z niej szybko nie mogą odejść i na następny nabój trzeba miejsce zrobic. Trzeba wiec przedewszystkiem odryglowac zamek. Przekrecam sie o ćwierć obrotu w lewo, az rączka oprze sie o krawędź obsady. Rygle moje wtedy wyszły juz z zaczepów, stoją naprzeciw wycięć w mostku i mogą jechać do tyłu. Ale kiedy sie obracam, działą sie jeszcze ważniejsze rzeczy. Po pierwsze, opierałem sie podstawą rączki o skośne ścięcie w mostku, wiec obracając sie, cofnałem sie nieco wtyl.

— Zupełnie niepotrzebnie — gderał podajnik.

— Tak ci sie zdaje zamazany rekrucie, a na prawdę to bardzo potrzebne, bo kiedy cofam sie, pazur ciągnie za krezę luski i luska wzruszona łatwiej potem wychodzi.

— O, inaczej bym nie dal sobie rady — mowil wyciąg z pazurem. — Ale ja sie razem z trzonem nie obracam, tylko siedzę w swoich rowkach, bo inaczej zamek nie dal by sie wyciągnac.

— To jeszcze nie wszystko co przy przekreceniu robie — ciagnal trzon dalej, — bo zastanowcie sie, co sie dzialo po strzale. Sprężyna rozciagnęła sie jak dluga, opierając sie o zameczek i przyciskając grot iglicy do wystrzelonej juz spłonki. Na

końcu iglicy siedzi kurek, który opadając, oparł się o skośne wycięcie jakie mam w tyle. Obracając się, naciskam tą skośną krawędzią na kurek i odpycham go ku tyłowi. Kurek pociąga za sobą iglicę i ściska sprężynę.

— A dlaczego kurek nie obraca się razem z trzonem, tylko się cofa — pytała iglica.

— Bo mu wycięcie w zameczku obracać się nie pozwala, a zameczek sam opiera się o ogon obsady i też się przekręcić nie może.

— Tak, tak, muszę się cofnąć — potwierdził kurek — a cofając się naciskam ząb zaczepu kurkowego, wiecie ten co tak ciekawie wygląda z ogona obsady.

— E, póty tylko naciskasz, póki mnie nie miniesz — odezwał się zaczep — potem zaraz odskakuję znowu i teraz ja ci nie pozwolę opaść póki mnie spust nie ściągnie.

— W ten sposób napiąłem sprężynę — mówił z coraz większym przejęciem trzon. — Gdyby mnie zpowrotem przekręcić w prawo, to kurek zostanie zaczepiony i można ściągnąć spust.

— Ale w lufie siedzi jeszcze dawna łuska — zawołała iglica.

— Tak, to też muszę cofać się ku tyłowi, żeby ją wyciągnąć.

— Dobrze — mówił zaczep, — ale jak się cofniesz, to kurek przestanie się opierać o mnie, a zameczek o ogon obsady i wszystko może się tak

przekręcić, że kurek znajdzie się znów nawprost swego ześlizgu i sprężyna ściągnie go wprzód.

— Ach tak, to mi się zdarza kiedy taki rekrut składa po raz pierwszy karabin—zawołał kurek.— Wyjmie zamek i robi coś takiego, że zameczek razem ze mną przekręci się na trzonie, a iglica opadnie. Gość nie wie potem, jak wprowadzić zamek do obsady. Ale w złożonym karabinie jest coś, co nie pozwala zameczkowi się obrócić, bo przed wyjęciem zamka nigdy mi się taka przygoda nie zdarzyła.

— Tak, jest coś takiego, ale zgadnijcie co — zapytał trzon.

Wszystkie części spoglądały na siebie, ale żadna nie umiała odpowiedzieć, tylko zameczek uśmiechał się znacząco.

— To ja, to ja! — zapiszczało wreszcie coś w głębi zameczka.

— Ach, wiem, to zapadka — rzekła zaciekawiona iglica — nikt nigdy nie wie, do czego ona służy.

— Każdy porządny strzelec o tem wie — oburzyła się zapadka. — Myślałam, że jesteś lepiej wyszkolona. Żebyś na drugi raz wiedziała, to ci opowiem. Moja sprężynka, o której pewnie też niewiele wiesz, opiera się o dno gniazdka w zameczku i póki zamek jest zamknięty, przyciska mnie do krawędzi obsady. Kiedy przy otwieraniu zamek z trzonem się cofnie i mój łeppek nie

dotyka już obsady, sprężynka ciśnie mnie nadal i wpadam swoim zaskokiem do gniazdka na trzonie. Teraz zameczek siedzi jak zaklinowany i nie może się przekręcić na trzonie. Kurek opiera się o krawędź trzona i też opaść nie może.

— Teraz mogę śmiało jechać do tyłu — rozpoczął znów trzon — i zatrzymuję się dopiero wtedy, kiedy lewy rygiel uderzy o zaczep zamkowy. Jeżeli zamek się wyjmuje, musi zaczep być odchylony.

— Zapomnieliście o mnie — odezwał się zagniewany wyrzutnik.

— Prawda — rzekł trzon — zanim uderzę o ząb zaczepu zamkowego, ciągnąc za sobą wystrzeloną łuskę, w wycięcie lewego rygla wchodzi wyrzutnik. Uderza on o dno łuski, wysuwając krezę z pod pazura i wyrzuca łuskę nazewnątrz.

— O mnie też wszyscy zapomnieli — upomniął się bezpiecznik.

— E, co ty tam mądrego robisz, tylko się kiwasz z prawa na lewo i nie wiesz czego się trzymać.

— O, przepraszam! po pierwsze wiem doskonale co robię, a po drugie czuwam nad bezpieczeństwem żołnierzyków. Kiedy mnie pan plutonowy położy skrzydełkiem na lewo, to rzeczywiście niewiele mam do roboty, bo moje wycięcie pozwala kurkowi opaść, nie zaczepiając o moje opory. Ale niech mnie ustawi skrzydełkiem pośrodku, to już nie zaczep kurkowy, ale ja trzymam kurek i iglicę

napiętą. Pan plutonowy może wtedy wyjąć zamek i odkręcić zameczek razem z iglicą, a kurek nie spadnie, chyba, że jakiś gość, co ma pierwszy raz karabin w ręce, przekręci mnie w lewo. Wtedy spada kurek i iglica.

— A jeżeli się obrócisz w prawo? — pytała iglica.

— O, wtedy nietylko trzymam kurek, nie pozwalając mu opaść, ale jeszcze mój zaskok wchodzi w gniazdko na trzonie, w te same, w które wpadała zapadka i teraz nie ona, ale ja nie pozwalam przekręcić trzona. Nie można więc wcale zamka otworzyć, póki nie obrócę się znów skrzydełkiem w górę lub na lewo.

— No nie tyle ty się obrócisz, ile ciebie obróć — mruczał trzon, który nie lubił kiedy inni zamiast niego mówili.

Obsada skrecona z lufą, która dotąd milczała, odezwała się teraz:

— Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje. Tyleście wszyscy nagadali, że można by myśleć, że z was tylko karabin się składa. A gdybym ja nie trzymała i nie kierowała trzonem i innymi częściami, albo gdyby lufa nie prowadziła pocisku, to nie nawiele wszystkie wasze mądre ruchy by się przydały. Ja ograniczam i kieruję ruchem trzona w dół i na boki, o moje zaczepy zachodzą rygle, o mój ogon opiera się zameczek, w moim wodzidle porusza się ząb kurka, w moich rowkach

wodzi się pazur. We mnie siedzi zaczep zamkowy razem z wyrzutnikiem, do mnie przykręcone jest pudełko, lufa i łożo. O mnie wreszcie opiera się swemi garbami spust, kiedy przy ściąganiu obniża ząb spustowy. Widzicie ile mam roboty. A śmieszne jest, żeście nie powiedzieli ani słowa o lufie, która najgorszą i najodpowiedzialniejszą pracę wykonywa i od niej cała wartość i celność karabina zależy.

— O nas też nic nie mówili — zawołały jednym głosem celownik i muszka. A cóż po strzale, jeżeli pocisk pójdzie szukać dziur na niebie. Dzięki nam tylko strzał może być celny.

— Żeby strzał był celny, trzeba mieć za co ująć wygodnie karabin — odezwało się łożo karabina, z którego Czarnecki wyjął zamek.

— Beze mnie żołnierz sobie łapy poparzy! — trzeszczała nakładka. — Beze mnie ręce mu omdleją w marszu — syczał pas.

Jedno przez drugie zaczęły części karabina wykrzykiwać swoje zalety i zasługi i powstał taki hałas, że ustawiony przy drzwiach na stojaku karabin, który milczał zawsze wyprostowany jak struna, wyobrażając sobie, że stoi na warcie, — trzasnął kolbą o ziemię, aż się wszystko uciszyło i huknął zachrypniętym głosem:

— Cicho hultaje! Każde z was w pojedynkę nie wiele warte i nic zrobić nie może. Ale niech

nasza wróżka przyjdzie, to zmusi was wszystkich do wspólnej pracy.

— Nie wierzę we wróżki... — odezwał się rozsądny zameczek, ale nie skończył mówić, kiedy w środku izby zjawiła się powiewna postać i skinęła trzykrotnie laseczką.

Za trzecim skinieniem, zapominając o wszystkich sporach, bezpiecznik skoczył na swoje miejsce w zameczku, a zameczek połączył się z iglicą, na której już siedziała sprężyna. Kurek nakręcił się na iglicę i cały zamek wsunął się do obsady rozebranego karabina. Podajnik oparł się o sprężynę, sprężyna o wieczko i wszystko zniknęło w pudełku. Złożony karabin stanął na stojaku obok swego towarzysza, a wróżka zniknęła jak sen.

— Co to jest, co się stało? — dziwiły się muchy, które przysłuchiwały się ciekawie wszystkim sporom.

— Ja wiem co to za wróżka, to jest współdziałanie — odezwała się półka, najstarszy sprzęt w magazynie, która pamiętała czasy, gdy w tej samej izbie gospodarowały szare postacie w hełmach i myckach, mówiące po niemiecku. — Dzięki niej tylko pracują zgodnie części karabina. Przez nią współdziałają na polu bitwy wszystkie oddziały i bronie; przez nią zgodnie pracuje i walczy naród cały. Gdy wszyscy dążą do jednego celu, ona przynosi zwycięstwo, dobrobyt i szczęście.



... przyjrzał się wziętemu karabinowi.

W tej chwili wpadł jak wicher do magazynu starszy szeregowiec Czarnecki. Zaczęła się bójka na mieście, między szeregowcami i w braku podoficerów wysłano go jako przyszłego kaprała na czele patrolu celem zrobienia porządku. Gdy wszedł do magazynu, wszystko zastygło nieruchomo, potknął się tylko o leżącą na ziemi sprężynę, chwycił karabin ze stojaka i wybiegł na podwórze. Dopiero idąc szybkim krokiem na czele kilku towarzyszy, przyjrzał się wziętemu karabinowi. Nie zatrzymując się, z niepokojem otworzył zamek. Wszystko było w porządku.

— Co za licho? czy mi się śniło? przecież go rozebrał przed godziną! — Ale nie miał czasu zastanawiać się dłużej, bo dochodzili do gospody, z której rozlegały się hałas i okrzyki.

— A wy jak myślicie, czy Czarneckiemu śniło się naprawdę?

Rdza na obsadzie.

— Bój się Boga Jasiek, masz rdzę na obsadzie. — Janek spojrzał na trzymany na kolanach karabin i zaczerwienił się po same uszy. — Rdza na jego karabinie!

Ale co tu było gadać, kiedy brunatna plama na samej obsadzie widoczna była jak wół.

Siedzieli obaj nad brzegiem rowu. Przed nimi ciągnęła się łąka. I rów i niższe miejsca łąki wypełniała mętna, brudno-żółta woda.

— Taka sama ruda jak pod naszą wioską — ucieszył się Janek. Patrzył jakiś czas na wygrzaną w słońcu łąkę, potem spojrzał znów na swój karabin.

— Zobacz no Antek, taka sama rdza w tej wodzie jak na moim karabinie.

— Bo też w tej wodzie jest takie same żelazo jak w twoim karabinie.

Chudy Antek, chłopak o długiej i śniadej twarzy i mądrych, piwnych oczach, pochodził z Górnego Śląska. Pracował tam w fabrykach i hutach żelaza. Widział już kawał świata, a że lubił czy-



Siedzieli obaj nad brzegiem rowu...

tać i innym chłopakom ciekawe rzeczy opowiadać, więc go przezwali profesorem.

— Widzisz go, profesor — będzie mnie w butelkę nabijał — obraził się Janek i ze złości skrzył tylko jednego papierosa zamiast dwóch, a dym puszczał Antkowi pod sam nos.

Ale Antek, jak zawsze spokojny, uśmiechnął się tylko.

— Nie stawiaj się; żebyś w cywilu przy tem pracował jak ja, tobyś wiedział, że żelazo bywa naprawdę w takich mokrych łąkach. Nie darmo też w pewnych miejscowościach mokrą łąkę rudą nazywają, a wiesz pewno, że żelazo z rudy się wypala. Ale papierosa daj, bo jak nie dasz to ci sam wezmę.

— Dam, ale powiedz, skąd się bierze takie same żelazo w karabinie jak na łące.

Antek zapatrzył się w brunatną wodę, potem skrzył papierosa i zaczął wolno mówić:

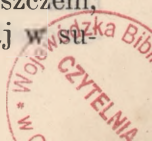
— Ja bym też temu nie chciał wierzyć, żeby mi w szkole nie tłumaczyli, co to jest rdza.

— Rdza, to jest rdza i koniec! — wyrwał się Janek.

— Bardzo mądrze powiedziałeś, — roześmiał się Antek — ale czemu przedtem na miejscu tej rdzy było żelazo.

— A no, bo rdza się robi z żelaza.

— I to prawda, ale nasmaruj żelazo tłuszczem, żeby powietrze nie dochodziło, albo trzymaj w su-



chem zupełnie powietrzu, to choć byś cały miesiąc czekał, nic ci nie zardzewieje.

— Bo rdza się robi na powietrzu i w wilgoci.

— Nietylko na powietrzu, ale z samego powietrza. Widzisz, nie wiem czy to zrozumiesz, ale powietrze to nie jest taka prosta rzecz jakby się zdawało. Przedewszystkiem w powietrzu jest zawsze wilgoć w postaci pary wodnej, którą widzimy tylko wtedy, kiedy powietrze się ochłodzi i z pary robią się kropelki mgły. Tak samo tuż nad gotującą się wodą w garnku nie widzimy pary, choć się ulatnia, dopiero wyżej trochę, tam gdzie się styka z chłodniejszym powietrzem, tworzą się kłęby widocznej pary, zamienionej już w kropelki wody. Ta wilgoć powietrza osiada łatwo na zimnych metalowych częściach karabina i dlatego broń nawet na powietrzu, które nam się suchem wydaje okrywa się wilgocią a potem rdzewieje. Ale sama woda nie wystarczyłaby, aby z żelaza zrobiła się rdza. Konieczny jest do tego gaz, który znajduje się zarówno w wodzie jak i w powietrzu.

— Najgorzej, że tego powietrza nie można zobaczyć — odezwał się Janek.

— To prawda — rzekł Antek — bo powietrze jest gazem prawie bezbarwnym i przezroczystym, ale łatwo się przekonać, że jest naprawdę dokoła nas. Daj no twoją manierkę.

— Kiedy pusta.

— To nic. Właśnie chcę ci pokazać, że nie jest pusta. — Antek wziął z rąk Janka manierkę z grubego, zielonego szkła i zanurzył do płynącej rowem wody, trzymając butelkę do góry dnem. Woda do manierki nie wchodziła.

— Widzisz, powietrze nie wpuszcza wody do środka. A popatrz teraz — Antek zanurzył całą butelkę i pod wodą obrócił ją szyjką do góry.

— O, o! jak powietrze bańkami ucieka! — zawołał Janek.

— Uważasz — mówił Antek — takich gazów jak powietrze jest dużo. Najczęściej są też przezroczyste i niewidoczne. A samo powietrze jest mieszaniną dwóch co najmniej takich gazów. Jeden z nich, ten, który potrzebny jest do oddychania, nazywa się tlenem. Jak ci pod maską gazową tego tlenu zabraknie, tobyś zdarł ją z głowy. Para wodna i woda też składa się z tlenu i jeszcze innego gazu, który się nazywa wodorem. Nie są one ze sobą prosto zmieszane tak jak gazy powietrza, ale tak ściśle połączone, że trzeba parę wodną grzać do kilku tysięcy stopni, żeby się od siebie oddzieliły. Otóż ten tlen razem z wodą, utworzoną z pary wodnej i żelazem, tworzy dopiero rdzę.

— Aha, to gdyby odciągnąć z rdzy wodę i tlen, toby zostało znów żelazo?—pytał zdziwiony Janek.

— A tak, i to się właśnie robi w hutach czyli w fabrykach, gdzie się wytapia żelazo. Czyste że-

lazo spotyka się na ziemi bardzo rzadko, rozumiesz sam, że takie żelazo szybko by przerdzewiało. To też żelazo, które znajdujemy w ziemi jest zawsze prawie połączone z tlenem, tak jak żelazo w rdzy. Są tam również inne domieszki, jak piasek i glina, nie mówiąc o wilgoci, a wszystko to razem z tlenem trzeba usunąć, żeby otrzymać czyste żelazo.

— Ja tam rozumiem, że można rudę z wilgoci osuszyć, a glinę i piasek oddzielić, ale jak ten tlen z rdzy wypędzić, kiedy stanowi on razem z żelazem jedno ciało.

— Ano, pomyśl sam, jakby to zrobić.

Janek myślał, myślał, ale nie nie mógł wymyśleć.

Nagle Antek chwycił trzymaną przez Janka puszkę z tytoniem. Chwilę mocowali się i puszka znalazła się w ręku Antka.

— Cóżeś ty z byka spadł — pytał zadyszany Janek — poco ci ta puszka?

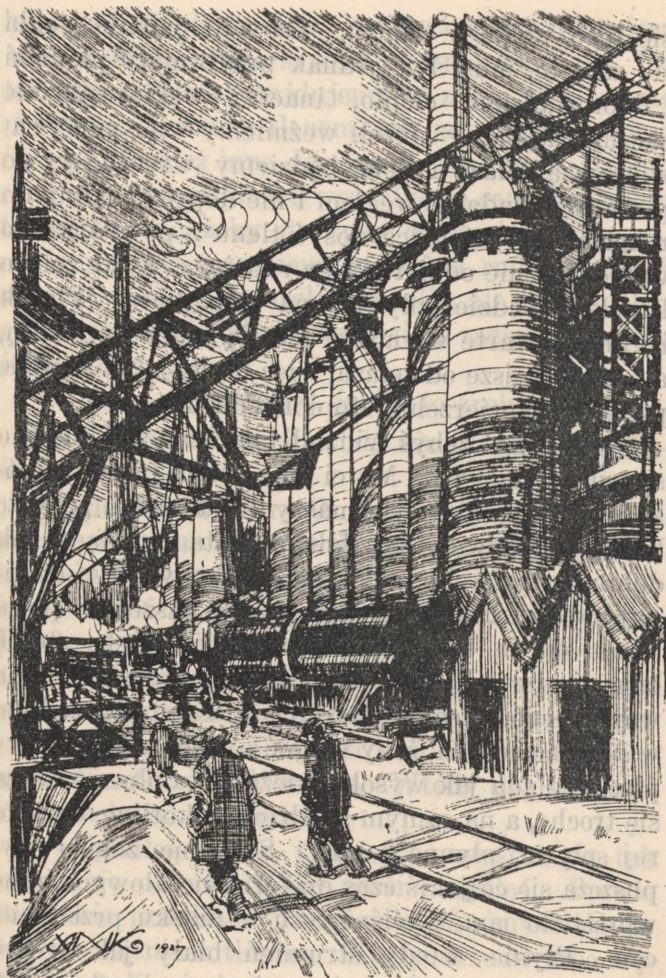
— Na nic — zaśmiał się Antek — chciałem ci pokazać jak odebrać rudzie tlen.

— Wiem! trzeba znaleźć coś, coby mocniej łączyło się z tlenem niż żelazo. Wtedy tlen odejdzie, a czyste żelazo zostanie.

— Zgadłeś bracie, tylko to wszystko nie tak prosto się odbywa jakby można myśleć. Prawie wszystkie przedmioty, albo jak mówimy ciała łączą się chętnie z tlenem. Kiedy drzewo albo węgiel się pali, nic innego nie zachodzi, jak łączenie

się tego węgla z tlenem. Żeby to palenie węgla się zaczęło, musi być jednak przytknięty płomień i doprowadzone ciepło, inaczej węgiel sam nie zacznie się palić. Jeżeli weźmiemy więc rudę, zawierającą żelazo i tlen, będziemy wrzucać ją do pieca przekładając węglem i nie doprowadzimy do rozpalonego już pieca dosyć tlenu z powietrza, to węgiel zacznie odbierać tlen rudzie, a czyste żelazo kroplami będzie spływać na dno pieca. Piasek i glina, zawarte w rudzie, też się topią i ściekają, ale że są lżejsze od żelaza, więc pływają na spodzie pieca, na powierzchni stopionego żelaza.

— Ho, ho! żebyś widział taki piec. Niedarmo się wielki nazywa. Ma ci on z osiem pięter wysokości, a przy nim tyle maszyn i narzędzi, żeby tę bestję naładować, że zdaleka huta wygląda jak dobre miasteczko. Te maszyny, windy dźwigają wózki z rudą i węglem do paszczęki pieca i tam się je naprzemian wysypuje. Żeby stopić łatwiej piasek i glinę, dodaje się jeszcze kamienia wapiennego, a samą rudę prażą często przedtem w innych piecach, żeby wilgoć i wodę usunąć. Cały piec wygląda jak wysoka wieża. U dołu rozszerza się trochę, a na samym spodzie ma kotlinę, do której spływa płynne żelazo. Stopione żelazo wypuszcza się co jakiś czas do form metalowych, albo wprost do jam, wyciśniętych w piasku przed piecem. Płyne wtedy strumień biały jak srebro i świecący, potem kiedy stygnie coraz bardziej żół-



— Ho, ho, żebyś widział taki piec...

ty i różowy i krzepnie w kawałach, które się nazywają gęsiami. Ale materiał taki ma w sobie dużo węgla i jest tak kruchy, że nie na wiele się zda. Nazywają go surowcem. Żeby był użyteczny, trzeba go przetopić jeszcze raz i odlać w gotowe formy rur, garnków, albo części maszyn. — A jeżeli chcemy taki surowiec kuć, trzeba go wyświeżyć.

— No, żelazo to nie ryba, zawsze jest chyba świeże.

— Wyświeżyć, to znaczy przerobić surowiec na żelazo albo stal, a do tego trzeba usunąć z surowca część węgla, która się w nim znajduje. Widzisz, ten surowiec i przetopione z niego żelazo lane jest kruche i nie nadaje się na części broni, które się często o siebie uderzają. Tymczasem po przerobieniu na stal otrzymujemy mocny i sprężysty materiał.

— No dobrze, ale jak z tego surowca teraz węgiel odciągnąć?

— Odciągnęliśmy tlen z rudy zapomocą węgla, to czemu nie mielibyśmy teraz odciągnąć węgla z surowca też zapomocą tlenu. Przecież wiesz już, że węgiel łatwiej się łączy z tlenem niż żelazo. Jeżeli więc surowiec stopimy i doprowadzimy powietrze, zawierające tlen, to węgiel połączy się z tlenem, czyli wypali, a surowiec zamieni się w stal. Tak się też robi, w innych tylko piecach, a taka fabryka do przeróbki surowca na stal nazywa się stalownią. Musimy jednak miarkować,

żeby trochę węgla w tej stali zostało, bo byłaby zbyt miękka i nie dała się hartować. Taką płynną stal zlewa się do żelaznych form i zanim zupełnie ostygnie, walcuje na pręty albo blachy. Bardzo dobre gatunki stali jeszcze raz się przetapia w specjalnych garnkach albo tyglach i dodaje droższych metali, żeby otrzymać lepszy i wytrzymalszy materiał. Szczególnie materiał na lufy musi być starannie przygotowany.

Antek tak się zagadał, że niedopalony papieros zgaśł mu w rękę, a Janek już zaczął na dobre poziewać. Nadszedł plutonowy Radowski.

— Wy tu co robicie? — huknął na nich. — Już jest zbiórka na omówienie, a ci siedzą nad rowem jak żaby!

— Panie plutonowy, melduję posłusznie żaden nieprzyjaciół się nie pokazał, więc klarowałem Ciecierskiemu skąd się bierze rdza na karabinie.

Plutonowy Radowski zmarszczył groźnie brwi, ale że lubił Antka i wiedział, że ma dobry wpływ na kolegów, więc tylko mruknął:

— Żebym ja nie powiedział panu porucznikowi skąd się biorą łaziki na ćwiczeniach. A teraz jazda na zbiórkę.

Przygoda Walka.

Mówiłem wam, że części karabina i inne przedmioty gadają i ruszają się jak ludzie, ale wtedy tylko, gdy nikt na to nie patrzy. Zdarzyło się jednak w czasie wojny, że szeregowiec Walek Bezbronny, ochotnik, widział to na własne oczy, co prawda we śnie, ale widział. I miał nawet z tego powodu niemiłe zdarzenie.

Prawdę mówiąc, był Walek trochę łązikiem. Poszedł przed kijowską wyprawą na ochotnika, ale że miał już z szoferką do czynienia, dostał się wraz z kilku kolegami do kolumny samochodowej. Wojsko ci to było jak każde inne, ale muszę przyznać, bo sam w niem służyłem, że więcej się tam benzyny rozlewało, aniżeli krwi. Zdarzali się morowi chłopcy, którzy potrafili i tam nawet na krzyże zasłużyć, bo nie w tem sęk gdzie służyć, ale jak. Ale Walek żadnego krzyża się nie dorobił.

Że to chłopak częściej trzymał kierownicę samochodową w ręku niż karabin, więc i pieczy ta-

kiej o nim nie miał, jak piechur i nie rozumiał jak wielkim zaszczytem jest broń nosić w ręku. Napróżno Janek Ciecierski, który prowadził wóz Nr. 827 strofował go i wstydził; karabinek Walka był w srogiem zaniedbaniu, i gdy szef kolumny tego nie widział, poniewierał się pod siedzeniem samochodu. A miała kolumna śliczne karabinki francuskie, wyfasowane przed samym wymarszem.

Raz jednak na postoju kolumny, gdzieś koło Żytomierza, ruszyło Walka sumienie. Rozłożył koc opodał wozu na słoneczku, usiadł sobie wygodnie i wyciągnął karabinek. Rozebrał zamek i już się miał wziąć do czyszczenia, kiedy go taka chętka do snu porwała, że postanowił tylko na chwilę się przyłożyć.

— Szlak go nie trafi — myślał, — gdy się trochę zdrzemnę. — Rozciągnął się obok karabina, nasunął daszek na oczy, bo mu słońce w samą gębę świeciło, ziewnął szeroko, podrapał się w łokieć, cości go tam gryzło, jeszcze raz westchnął i zasnął.

Krótką miał jednak chwilę spokoju, bo nagle postyszał głośnie szczęknięcie jak przy powtarzaniu broni, a oburzony głos odezwał się tuż obok niego:

— A skurczybyk! niejeden z nich gryzłby dawno ziemię, żeby nie my, a ten, że mu nic nie grozi, to myśli tylko o spaniu.

Przestraszony Walek otworzył do połowy jedno oko, ale mu dech z przerażenia zaparło, gdy zoba-



Napróżno Janek Ciecierski strofował go i wstydził.

czył, że cały trzon stał teraz, opierając się na czółku, a na gałce jego zarysowała się mała, skurczona z gniewu twarzyczka.

— I to my mamy bronić jego życia — niedoczekanie jego! Już przyjdzie taka chwila, że mu się zatnę i choćby obcasem walił, nie wyciągnie łuski. Niechże go wtedy zadźgają!

— O rety! — chciał krzyknąć Walek, ale znów mu głosu w piersi zabrakło, bo zobaczył na obsadzie, w miejscu gdzie był napis na karabinie, występujące rysy twarzy. Ze skrzywionych ust jej odezwał się żaloszny głos, płynący jakby z głębi lufy:

— Mnie on też ładnie pielęgnuję, już mnie rdza w dwóch miejscach dobrze przejadła. A ile razy uderzył mnie o samochód lub ziemię! Już nigdy taka prosta, gładka i świecąca nie będę, jak wtedy, kiedym wyszła we Francji, z fabryki St. Etienne.

Już ja mu nie daruję! — złościł się trzon. — Widły mu w łapy dać, a nie karabin. Jak tylko nas czyścić zacznie, powiem śrubie zamkowej, żeby się zgubiła i niech wtedy składa zamek.

— Wielmożny panie trzonie, prześwietna pani lufo, przebacz — jęknął Walek.

— Milcz gnojku! — ciskał się trzon.

— Daruj mu — rzekła łagodnie lufa, — może się poprawi, a cóż on winien, że jest głupi.

— To niech zginie, kiedy jest głupi, a niech ogólnego dobra nie marnuje.

W Walku złość zaczęła wzbierać. Poczuwał się do winy i gotów był ją odpokutować, ale nie chciał żeby nim tak pomiatano. Podniósł się więc na łokciu i choć go peszyły mocno te gadające stworzenia, cisnął im w oczy:

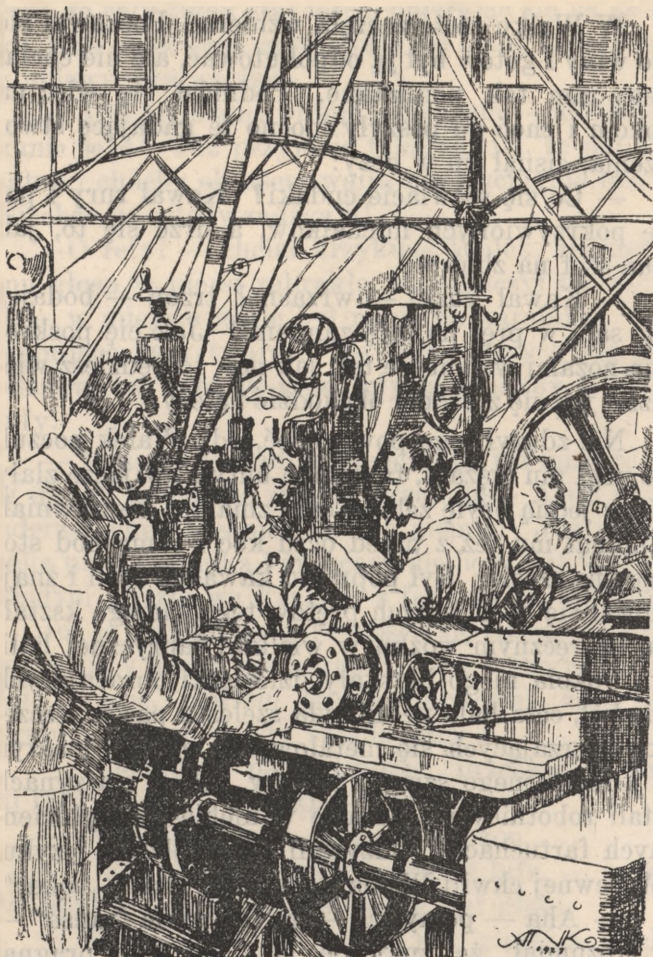
— Co się stawiacie cudaki? Kawał rury i parę pokrzywionych michałków, a drze się to, jak pan szef na zbiorce.

— Kawał rury! — wrzasnął trzon — bodajesz się sam w pręt na lufę zamienił! Jak cię poskrobią nożami w fabryce tak jak nas, to będziesz wiedział jak się z bronią obchodzić należy.

Nie zdążył tego powiedzieć, gdy Walek poczuł, że nogi mu stężały, fasowane buty i owijacze zwały się w jedną bryłę żelaza, cały zmałał i zeszywniał. Zniknął mu też z przed oczu koc i samochód stojący na szosie. Był poprostu kawałem stali i znajdował się obok innych prętów tego samego kształtu na ręcznym wózku w wielkiej fabrycznej hali.

Dokoła niego błyskały dziesiątki obracających się kół, cała hala pełna była szelestu pasów, szczególnie uderzających się metalowych części maszyn i jednostajnego szmeru trybów. Przy maszynach stali robotnicy i robotnice w niebieskich płócienych fartuchach. Odzywali się w obcym języku. W pewnej chwili Walek podłyszał słowo „bązur“.

— Aha — pomyślał, — to tu „parle franse“ — i zrozumiał, że znajduje się, jak tego pragnął trzon, we francuskiej fabryce broni.



Przy maszynach stali robotnicy...

Wózek jego stał na końcu hali. Po chwili jeden z robotników pochwycił go, obejrzał i zamocował na tarczy maszyny, która zaczęła się zaraz szybko obracać. Drugą ręką poruszył rączkę maszyny i do Walka przysunął się kawałek zaostrojonej stali. Biedak zmartwiał do reszty, gdy poczuł, że z pod tego noża zaczynają lecieć żelazne wióry, — wióry z pręta, którym był on sam, Walek Bezbronny, szeregowiec 3 połowej kolumny samochodowej. Coprawda nie bardzo go bolało, było mu zupełnie tak, jakby go kto tępą brzytwą golił. Gdy go zdjęto z maszyny miał szerszy koniec, gdzie dawniej była jego głowa, równo obtoczony.

— Niech lichy weźmie taką manikurę — pomyślał.

Niedługo jednak mógł się zastanawiać, bo go przeniesiono na inną maszynę. Walek był chłopak niczego — prosty i zgrabny, ale kiedy się stał prętem, to pręt ten wyszedł nieco krzywy. Na nowej maszynie musiał znów się obracać jak na tokarce, ale co jakiś czas zbliżały się doń stalowe kły, które go tak gniotły, że chcąc niechcąc musiał się prostować i zdawało mu się, że go ktoś pod żebro pięścią ciśnie. Ale i tu niewiele popasał. Pochwycił go inny robotnik. Znów zamocował go jednym końcem w tarczy, a z drugiego dosunął świder stalowy. Kiedy puszczono maszynę w ruch, Walkowi zakręciło się na dobre w głowie. Robił na minutę ze trzy tysiące obrotów. Dosunięty świder

zaczął wchodzić w głąb, a wiórki z pod niego wymywał strumień oliwy. Walek posłyszał jak stojący nad nim robotnik mruknął:

— „Sa wa bię” — co znaczyło, że „dobrze idzie”, ale tego Walek nie zrozumiał. Ze dwadzieścia minut musiał tak wirować, aż długie na trzy czwarte metra wiertło schowało się w nim po samą oprawkę. Potem przesunięto Walka na nową maszynę i położono obok kilku innych, przewierconych prętów.

— Zawsze przyjemniej w towarzystwie — pomyślał Walek. Teraz on się nie poruszał, ale poczuł, jak się mu wsuwają pręty zakończone naciętemi w rowki wałeczkami. Wałeczki obracając się, skrobały wnętrza luf, że stały się szersze, gładsze i świejące.

Walek wkrótce przestał rozumieć co się z nim dzieje. Przechodził wciąż z rąk do rąk, z maszyny na maszynę. Toczono go po wierzchu z początku nożami, potem tarczami szlifierskimi, które polewano wodą, potem raz jeszcze gładzono jego wnętrze. Na jednej z maszyn, w przewierconym przewodzie, zaczęły się posuwać nożyki, które przechodziły wzdłuż całej lufy i wciskały się coraz głębiej, nacinając brózdy. Potem wnętrze lufy znów szlifowano tłoczkiem z ołowiu, posypanym szmerglem. Było tych maszyn razem z pięćdziesiąt sztuk, albo i więcej. W tym czasie Walek — lufa, raz po

raz wracał na słupek, na którym go prostowano, patrząc pod światło czy jest prosty.

Po zejściu z każdej maszyny, Walek stawał się coraz mniej podobny do bezkształtnego odkutego pręta, a nabierał zgrabnych kształtów lufy. Parę prętów, które razem z nim zaczęły wędrówkę po hali fabrycznej, odpadło. Jedne były z materiału zbyt twardego, inne zostały odrzucone przy słupku do prostowania. Na kilku ostatnich maszynach wywiercono komorę nabożową i sprawdzono czy dokładnie pasuje do kształtu naboju. Wreszcie nacięto gwint, który łączy lufę z obsadą. Z czarnego kawała stali Walek stał się błyszczącą pięknie lufą i czekał, aż go połączą z obsadą. Kiedy, czekając, popatrzył wstecz na drogę, którą odbył, policzył dziesiątki maszyn i rąk, przez które przeszedł, pomyślał, że wiele pracy ludzkiej trzeba, żeby z pręta stali stała się niepoczerniona jeszcze ale już kształtna lufa. W tej chwili wziął go robotnik, a drugą ręką ujął w rękę łyżkę ze stopioną cyną aby polać miejsce osadzenia podstawy celownika. Walek poczuł tak dotkliwy ból w miejscu dawnego siedzenia, że porwał się jak oparzony i...

Hala z maszynami zniknęła. Przed nim ciągnęła się biała od kurzu szosa, opodal stał Walka samochód, a przed nim Janek Ciecierski zanosił się od śmiechu.

— Takeś się wystawił, że musiałem cię trzepnąć.

— Aleś mnie palnął, — krzyknął Walek, pocierając jednocześnie oczy i udo, niech cię krew zaleje! Ale posłuchaj jaka stypa mi się śniła — i Walek zaczął opowiadać swój sen.

Pod koniec Janek zawołał:

— Ależ ci się śniło kubek w kubek, to co Wicek opowiadał wczoraj o tem, jak w fabryce broni pracował.

— Nie bardzo go tam słuchałem, ale teraz dobrze to wszystko spamiętam.

— Cha, cha, cha, a co twój karabinek tu robi. Widzę, żeś się na dobre pana trzona przestraszył — zaśmiał się Janek, ale przestał zaraz, bo zobaczył, że Walkowi jakoś się markotno zrobiło.

Powiedział więc poważnie:

— Pewnie go chciałeś oczyścić. Zrób to bracie, bo powiadam ci, że karabin dla żołnierza to święta rzecz. A jak nie wygadasz nikomu to ci powiem, że stanąłem do raportu o przeniesienie do piechoty. Dosyć się już amunicji, mąki i butów nawoziłem.

Dlaczego Janek Ciecierski chciał służyć w piechocie.

— Więc ty chcesz iść do piechoty? No, no, — dziwił się Walek, albo ci tu źle? Maszynę masz jak cacko, chodzisz koło niej niczem zegarmistrz i do piechoty mu się zachciało!

Janek zarumienił się lekko. — Ja wiem, że wy tak będziecie wydziwiać, ale widzisz, to tak było:

Zamyślił się i zdawało się, że już nic nie powie, wkońcu jednak usiadł, podniósł z ziemi złamany badylek i, wygrzebując błoto z trzewików, zaczął mówić:

— Pamiętasz, Walek, jakeśmy do Kijowa jechali i pan porucznik zostawił nasze wozy w Żytomierzu, a tylko z połową kolumny pojechał? Zazdrościliśmy dobrze tym szczęściarzom, bo z pierwszymi oddziałami do Kijowa weszli, a dla nas i dla innych kolumn na złość zabrakło oliwy. Lataliśmy co parę godzin na dworzec, czy cysterna nie przyszła. Wreszcie kiedyś w nocy razem z tym grubym

magazynierem z dywizjonu zafasowaliśmy jakiś smar w beczkach, który przyszedł dla kolejarzy. W nocy wszystkie koty szare i przysięgaliśmy się, że to olejsamochodowy, a nazajutrz, choć szef kręcił głową, pan chorąży kazał zapuszczać wozy do drogi. Tyś z nami nie jechał, więc nie wiesz jak dalej było. Już pod miastem zaczęły silniki stawać, tyle z tego smaru sadzy było, a świece wcale palić nie chciały. Ale zmieszaliśmy resztki dobrej oliwy i jakoś się dalej jechało. Noc była księżycowa, tak że zapychaliśmy po tej szosie jak w biały dzień. Przed świtem już mi się w oczach zaczęło troić, ale wytrzeszczałem gały i dawałem gazu, byle dalej. Pamiętam szosa jak stół, więc sypię na całego, aż tu przede mną mostek jakiś, a w bok objezdka. Nie zdążyłem się wpatrzeć, jak już wyrznąłem ochronną szyną w kilkucalową barjerę — wyłamałem słup i leciałem na łeb z nasypu. Dobrze, że mi skreśliło koła i zleciałem nie do wody, a w bok, bo byś może już ze mną w tej chwili nie gadał. Pan chorąży akurat się przyłożył na moim wozie i też kozła fiknął. Oglądamy wóz — ale to czyste złoto. Szyna zgięta, fajki zgięte, słup wywalił jak kłodę, zleciał na nos z dobrych trzech metrów i nic. Bodaj, że nawet zapomniałem wyłączyć zapalanie i silnik cykał sobie cichutko jak zegarek. Wyciągnęliśmy go na szosę i śmigałem jak nic dalej — tylko co jakiś czas trzeba było świece z tej parszywej sadzy czyścić.

Dopiero nazajutrz koło szóstej wieczór zobaczyliśmy banie na cerkwiach kijowskich. Szef skoczył naprzód do miasta i przywiózł pana porucznika, a na wieczór staliśmy już w śródmieściu, w podwórzu wielkiego garażu. Dostaliśmy wcieranie za ten smar, ale pan porucznik sam pękał ze śmiechu, kiedy się potem okazało, że była to kreolina do smarowania świerzbawatych koni, a nie żaden olej maszynowy.

Dowiedziałem się, że nazajutrz będą nasi wypychać bolszewików z przedmościa po tamtej stronie Dniepru. Cztery wozy z naszej kolumny miały iść po rannych. Wyprosiłem szefa żeby mnie wyznaczył. Trzeba było wstać przed świtem, a zmachani byliśmy po nieprzespanej nocy i całej dobie jazdy, jak nieboskie stworzenia. Mało brakowało, żebyśmy się nie spóźnili.

Staliśmy za mostem, na szosie idącej do Browarów. Bitwa już się zaczęła. Pchaliśmy się z naszymi wozami przez samą ciekawość naprzód, ale nas oficerowie ze sztabu, którzy stali opodal, spędzali. Lewe skrzydło odeszło już daleko, ale na prawem nie mogli nasi dać rady i maszynki trajkotały jednym głosem bezustanku, nie posuwając się prawie naprzód. W pewnej chwili jakaś zbłąkana i obdarta kompanja bolszewicka wlaźła między nas i sztab. Skoczyliśmy do wozów i wialiśmy paręset metrów wtył. Zostawiliśmy wozy za wzgórkem pod opieką kaprała i wróciliśmy się da-



Dawalem gazu, byle dalej...

lej gapić. Tymczasem wszystko ruszyło naprzód. Browary widać było jak na dłoni: stacyjka, domy miasteczka i cerkiew z zielonemi kopułami. Obok mnie przy szosie ustawili działo. Nie wiem czy to nasza 75-tka była, czy rosyjska zdobyczna 3 calówka, bom się na tem nie znał, ale walili z niej raz wraz na stację i tor kolejowy. Spodziewali się bolszewickich pancerek. Obsługą dowodził plutonowy, zdaje się poznaniak. Bracie, żebyś go widział! oczy mu się paliły jak gwiazdy z rakiet, a twarz ci miał, jak jakiś święty z obrazka. Precz tylko nastawiał, celował i ryczał „ognia!” a ledwo padł strzał, już ładowano, już celował, już ścigał znowu. A potem wdali pod miasteczkiem, na zoranem polu, rozwinęła się nasza tyraljera. Mówię ci, oczy bolały patrzeć! Może to nie bardzo mądre było, ale wszystko szło jak na parady, jak pod sznur. Mnie serce zaczęło skakać w piersi, ale długom gapić się nie mógł, bo już zaczęli rannych znosić, swoich i bolszewików, i trzeba było wozy podawać.

Resztę rannych tośmy zebrali trochę później, w miasteczku z przed tej cerkwi. Bój już zacichał i przeniósł się za Browary. Zwoływało się to pokrwawione bractwo, pytał jeden o drugiego, ale wszyscy mieli w oczach ten sam święty ogień co plutonowy od dział. Jakem wracał, złapałem jakiś moskiewski karabin, rzucony przy drodze, bośmy nawet broni ze sobą nie wzięli. Nie mogłem

sobie dać rady, że to wszystko biło się, krwawiło i walczyło, a ja pętałem się jak obcy, czy kaleka, choć zdrowszy od niejednego z nich. Takim sobie już wtedy powiedział, że prędzej czy później muszę przejść do piechoty. I przejdę!

Janek zamilkł i łagodne rysy jego twarzy skurczyły się w jakiś zacięty wyraz. Ścisnął Walka za rękę i odszedł. Walek westchnął, spojrzał na swój karabinek, podniósł i długo oglądał, jakby pierwszy raz miał go w rękę. Potem usiadł i do samej zbiórki na odjazd czyścił zawzięcie.

W fabryce broni.

Janek jest już w piechocie. Postawił na swoim. Jedno go tylko dręczy, że wojna się już skończyła. Służbę musiał zaczynać niemal od początku. Nie tęskni do wielkopańskiego siedzenia za kierownicą samochodu; nie ciągnie go pęd po prostych jak strzała szosach. Czuje się szczęśliwy i wolny jak ptak, gdy depce w swojej czwórce po kurzu i błocie po drogach i bezdrożach. Z początku mu dogryzali, bo służbę znał gorzej od wielu kolegów, — ale już go poznali i polubili, a nawet szef ma dla niego jakieś poważanie. Karabin swój pieści jak matka dziecko. Na ćwiczeniach z musztry drżącymi ze wzruszenia rękami przerabia chwyt, byle nie opóźnić tempa i cieszy się, gdy się kompanja popisie.

Dziś szef go wywołał: Ciecierski, pojedziecie do fabryki broni z panem porucznikiem. A przypatrzcie się jak się karabin robi. Zameldujecie się za godzinę w kancelarji kompanji, gotowi do drogi.

— Rozkaz! — huknął Janek i skoczył się przebrać.

Nazajutrz rano dojeżdżał do Warszawy, trochę niewyspany, ale rad, że mógł się przewietrzyć.jechał z nim razem Wojtek Flis z tej samej kompanji, wiejski chłopak o puciołowatej twarzy i wielkich niebieskich oczach. Na dworcu w Warszawie spotkali wychodzącego z wagonu porucznika.

— Macie czekać na mnie z temi karabinami o trzynastej przed fabryką broni. Dojedziecie tramwajem. A nie zgubcie się na Nowym Świecie!

Wojtek ledwie zdążył powiedzieć. — Tak źle nie będzie panie poruczniku — i pociągnął Janka do ciotki, którą miał na Starem Mieście, żeby unyć się i zjeść śniadanie.

O trzynastej stali przed budynkiem fabrycznym. Razem z porucznikiem weszli do środka, dostali przepustkę i wkrótce znaleźli się w jednej z sal fabrycznych. Janek rozglądał się ciekawie, gdy posłyszał koło siebie wesoły głos:

— Jak się masz, piechota! — Nie chciał oczom swoim wierzyć, kiedy zobaczył przy maszynie Wal-ka. Choć w niebieskiem ubraniu roboczem, nie był taki zaniedbany jak swego czasu w kolumnie, — nawet oczy jaśniejsze i weselsze się zdawały, a mówił jakoś swobodniej i żartobliwie.

— Ty co tu robisz? — pytał uradowany Janek.

— Ho, ho, jestem dyrektorem od tych trzech maszyn i muszę się dobrze uwijać, żeby nadążyć. —

I Walek mówiąc to, podbiegł do jednej z maszyn, odkręcił zacisk, wyjął napół obrobiony trzon zamkowy i założył inny. Potem odwrócił się do Janka i puszczając w ruch maszynę, mówił dalej wesoło:

— Wiesz, nigdy nie myślałem, że to taka mądra sztuka ta fabryka broni. Wszystko idzie jak w zegarku. Na każdej niemal maszynie robi się tylko jedną, jak tu nazywają operację. To znaczy, że jak weźmiesz taki trzon, to na każdej obrabiarce ledwie go jednym nożem skrobną. I taki trzon przez dobrą setkę rąk przejdzie, zanim go można będzie oddać do składania. A przecież już z kuźni wychodzi mniej więcej na swój kształt odkuty. Kiedyś przed wojną jako chłopak robiłem w fabryce podków. Można było knocić na kilka milimetrów i nic. Tu bracie na włos przejedziesz pilnikiem albo nożem i już szmelc. Tylko, że wszystko na maszynach się robi, więc i sknocić trudniej. Mówię ci, żelazo płynie przez tę fabrykę jak woda. Tylko wchodzą surowe kawały z pod młota, a gdzieś w dziesiątej hali wychodzą gotowe części, a wreszcie cały karabin.

Wojtek znalazłszy się w fabryce stracił zupełnie głowę. Rozglądał się na prawo i na lewo, wytrzeszczając swoje okrągłe niebieskie oczy, zawadzał co chwila o jakieś żelastwa, potykał się o szyny, ocierał o pasy. Gdy Walek zaczął opowiadać, zbaraniał do reszty.

— A co to jest milometr? — wyjąkał wreszcie.

— Nie milometr, a milimetr! — śmiał się Walek, — a wiesz co to metr?

— Wiem — rzekł z dumą Wojtek — będzie ze dwa łokcie.

— No widzisz, to podziel sobie taki metr na sto kawałków, a każdy taki kawałek na dziesięć, części to będziesz miał milimetr. O, popatrz, tyle ile spuszczone iglica z czółka wystaje, trochę mniej nawet. Widzisz Janek, że ja teraz znam karabin nie gorzej od ciebie — chwalił się Walek. — Tu przy niejednej robocie nie wolno się na dziesiątą, a czasem i setną część milimetra zmylić.

— E, bujasz, przecież okiem tego nie dostrzeżesz nawet.

— To prawda, ale widzisz to mam zamiast oka. — I Walek pokazał stalową płytkę z dwoma wycięciami.

— Widzisz, to się nazywa sprawdzian; przy każdej maszynie prawie, taki się znajduje. Żeby sprawdzić miarę, są tu dwa wycięcia. W jedno musi trzon czy jaka część jego wejść, a w drugi nie powinien. Gdyby wchodził w obydwa wycięcia, byłby za luźny. Jeżeli w żadne nie wchodzi, — za ciasny. Ale jeżeli w większe wycięcie wchodzi a w mniejsze nie, to jest w sam raz. A już te wycięcia są tak zrobione, żeby nawet o dziesiątą część milimetra nie było błędu. Te sprawdziany to też u nas robią i dobrze się nad nimi napocą we wzorcowni. Z początku zanim się wprowadziliśmy, kupę braków

się odwalało, ale teraz, rzadko się knoci. Tylko człowiek musi latać jak w ukropie, żeby żadna maszyna nie stała, a im więcej sztuk odrobi, tem wyższą ma zapłatę.

W tej chwili wyszedł porucznik z inżynierem z kancelarji i zaczęli obchodzić warsztat. Inżynier objaśniał wszystko, a Janek posuwał się krok w krok i tylko nadstawiał uszu.

— Widzicie, poruczniku, cała fabryka podzielona jest na działy, w działach na grupy, w których wykonywają poszczególne części karabina. Te grupy dzielą się jeszcze na kolumny, zwykle z jednokowych maszyn złożone. Mało jest części broni, które wymagają mniej niż kilkadziesiąt narzędzi, a każde prawie narzędzie, założone jest na oddzielnej maszynie i wykonywa tylko jedną czynność albo operację. Tu się obtoczy zgruba, tam ogładzi, jeszcze na innej maszynie wywierci, albo gwint się natnie i tak z maszyny na maszynę każda część idzie, aż będzie całkowicie wykończona. Potem się ją tylko od ręki poprawi, im mniej to jest potrzebne, tem lepiej i idzie do składania. Są maszyny, które pozwalają na założenie kilku narzędzi i wykonanie kilku operacyj na tej samej części karabina. Podobne są do tokarek i nazywają się rewolwerówkami, bo narzędzia osadzone są w bębnie, który robotnik przestawia jak bęben z nabojami w rewolwerze. Są inne maszyny jeszcze mądrzejsze, które same narzędzia zmieniają i podają su-



Inżynier objaśniał wszystko...

rowy materiały, a z pod noża wychodzą już zupełnie gotowe śruby lub inne drobne części. Są to automaty. I jedne i drugie zobaczymy. Naogół jednak stosujemy proste maszyny, dodając do nich tylko przyrządy dla łatwiejszego zamocowania obrabianych części. Każdy robotnik ma premję, czyli nagrodę za wydajność pracy, musimy więc dać mu narzędzia naostrzone i gotowe. Ma też fabryka oddzielnie dział reperacyjny dla maszyn i wielką narzędziarnię.

Dalej, zastanówcie się poruczniku, że wszystkie części karabina są wykonane z kilku zaledwie gatunków stali, które różnią się tem tylko, że zawierają trochę mniej lub więcej węgla w sobie, a trzeba wiedzieć, że każda stal niewielki odsetek węgla zawiera. Tymczasem pomyślcie, jak różny materiał potrzebny jest na części karabina, kiedy jedne muszą być twarde jak szkło, żeby się nie ścierały, a jednocześnie nie kruche, inne powinny być sprężyste, — jak pazur wyciągu i sprężyny, wszystkie zaś dość mocne, żeby się nie złamały i o tyle miękkie, aby je można było łatwo obrobić na maszynach. Te wszystkie własności nadaje się stali przez odpowiednie grzanie i powolne lub szybkie studzenie. Weźmy choćby iglicę; musi grot mieć twardy i sprężysty żeby się nie zbijał, karby, któremi się łączy z kurkiem nie powinny się wycierać, sama zaś nie może być zbyt twarda ani krucha, żeby nie pękała przy ciągłych uderzeniach o spłonkę.

Tymczasem cała iglica robi się przecie z jednego kawałka stali. Wszystkie te cuda odbywają się znów w innym oddziale fabryki, w hartowni. Łatwo bardzo i tam zepsuć obrobioną już część karabina. Jeżeli się jakiś przedmiot zbyt ostro zahartuje, to stanie się kruchy jak szkło. Za mocno zahartowany wycior dość jest lekko uderzyć o stół, żeby się rozprysł w kawałki, jakby go co rozsadziło.

Jeżeli jakaś część ma być tylko po wierzchu twarda, to się bierze miękką stal, która zawiera bardzo mało węgla i żarzy w proszku węglowym, aby węgiel ten po wierzchu przeniknął do stali. Wtedy ta powierzchnia, zawierająca więcej węgla, daje się łatwo zahartować, a rdzeń wewnętrzny nie hartuje się wcale. W ten sposób zabezpiecza się powierzchnię części broni od ścierania.

Inżynier urwał i machnął ręką:

— Znów za wiele gadam, chodźmy lepiej to wszystko zobaczyć.

Zaczęła się wędrówka z hali do hali po piętrach i schodach, poczynając od warsztatów mechanicznych, w których stali, a kończąc na próbnej strzelnicy.

Jankowi też się nieźle już mieszało w głowie, kiedy oglądając obróbkę samego tylko trzona, chodzili od maszyny do maszyny przez dobre pół godziny — a na każdej coś innego się robiło. Na oglądanie wyrobu innych części karabina, nie miał już porucznik czasu. Przyjrzeni się tylko ciekaw-

szym maszynom, naprawdę „mądrym jak człowiek“, jak mówił inżynier, które obrabiały całe śruby, podsuwając same sobie materiał w postaci pręta i wyrzucając co parę minut gotową, obtoczoną i nagwintowaną śrubkę z główką. Inne znów wykonywały dziwaczne ruchy, żłobiąc wewnętrzne części broni w kształty, trudne nawet do opisanie.

Przeszli przez narzędziarnię, gdzie toczono i szlifowano narzędzia dla całej fabryki i przez wzorcownię, gdzie w zupełnej ciszy pracowali najlepsi ślusarze nad wykonaniem sprawdzianów. Wdzieli jak w kuźni pod szeregiem młotów wykuwano w stalowych formach przybliżone kształty części karabina, zanim przeszły do dalszej obróbki do warsztatu mechanicznego. Oglądali hartownię, gdzie się odbywały tajemnicze i cudowne przemiany żelaza i stali, wreszcie stolarnię w której dziwaczne maszyny przerabiały zaledwie ociosane kłody drzewa na zgrabne i smukłe łoża i nakładki. Wkońcu udali się do wielkiej hali, gdzie składano i sprawdzano karabiny. Janek zobaczył przyczepione do luf ustawionych w stojakach karabinów kartki, z jakimś cudacznem pismem.

— Czy to po chińsku pisane? — zapytał zdziwiony porucznik.

— O, to nasz tajemny język — zaśmiał się inżynier. — Każdy taki dziwny znak odznacza jakąś wadę dojrzaną przez kontrolę w karabinie. O, ten

ma naprzykład zameczek luźny w gwintach i skrzywioną iglicę. Zamiast wiele pisać, stawia się parę takich kresek, a robotnik czy majster wie już co trzeba w karabinie poprawić.

Kiedy wyszli z ostatniego oddziału — pełnej huku strzelnicy, gdzie przystrzeliwano gotowe karabiny, było już dobrze po gwizdku na „fajerant”. Porucznik pożegnał się zaraz z inżynierem i opuścił razem z Jankiem i Wojtkiem fabrykę.

W wagonie Janek długo nie mógł zasnąć. Całą noc majaczyły mu jakieś dziwne koła, maszyny i szeregi robotników i robotnic, wychodzących z fabryki. Ale gdy nazajutrz meldował swój powrót i szef go zapytał:

— No, jak się robi karabin? — Janek tak dokumentnie wszystko wytłumaczył, że szef poklepał go po ramieniu.

— No, widzę, że nie darmo was wybrałem na tę podróż. A powiedźcie chłopakom coście widzieli. Niech wiedzą, jak karabin trzeba szanować. Ja sam inaczej zaczęłem koło broni chodzić, kiedy zobaczyłem ile ludzkiego potu i jak wielkiej i mądrej pracy trzeba, żeby ją wykonać.

Podarunek panny Frani.

Może nie była nawet wiele ładniejsza od innych robotnic. Zresztą każdą szpeciła blado-żółta cera, pamiątka po dusznych i ciasnych wielkomiejskich mieszkaniach. Ale wszyscy, nie wyłączając srogięgo majstra, lubili pannę Franię. Miała oczy dziecka, wielkie i czarne, miły uśmiech i dźwięczny choć cichy głos. Od 9-tej rana do 4-tej, z półgodzinną przerwą w południe, stała przy swojej prasie. Podsuwała paski mosiężnej blachy, a poruszające się pionowo stemple wytłaczały z niej krążki, które opadały u spodu maszyny i wędrowały do dalszych pras, aby się stać po długiej wędrówce łuskami karabinowemi.

Byłaby tak lata całe myślała o niebieskich migdałach, o sukienkach koleżanek i o tem czy pójdzie jeszcze kiedy na zabawę, gdyby nieostrożne podsuniecie blachy nie skaleczyło jej poważnie ręki. Była sumienna i pracowita, a czytać i rachować umiała jak się patrzy, więc majster ją zro-

bił kontrolerką i powierzył cały szereg maszyn, na których pracowały koleżanki. Musiała notować na kartach wydaną i wykończoną robotę i uważać, żeby drogocenny mosiądz nie ginął w kieszeniach i fałdach fartuchów, mniej uczciwych koleżanek.

Teraz zaczęła się więcej interesować swoją pracą. W chwilach wolnych od pisania patrzyła z podziwem, jak z grubego krążka blachy, których tyle z pod jej rąk wyszło, na następnej prasie tworzyła się mała czarka. Z czarki tej na dalszych maszynach powstał jakby naparstek, który się wydłużał stopniowo w coraz dłuższą rurkę, z jednego końca zamkniętą. Wiedziała już, że jeżeli pierwotny krążek, z którego się łuska tworzyła, był gdzieś u brzegu ścięty, to w dalszej przeróbce powstawała w szyjce często niewidoczna szczelina i że uczciwy brakarz taką łuskę odrzucał. Po zdjęciu z pewnych pras, gdy łuska stawała się zbyt zbita i twarda, wkładano ją do pieca — rury ogrzewanej z zewnątrz płomieniem gazowym. Taką wyżarzoną łuskę można było wyciągać bez obawy pęknięcia na dalszych maszynach, nadając jej coraz bliższy do właściwego kształt. Patrzyła jak na tych maszynach zostały wytłoczone gniazda do spłonki, obtoczona kreza łuski, jak dalej wiercono kanały, któremi płomień ze spłonki przedostawał się do prochu wypełniającego gotową łuskę. Na odmiennych nieco prasach formowano stożek i zwężoną szyjkę łuski.

Co się działo w dalszych oddziałach, dowiedziała się panna Frania odwiedzając przy pracy swoje koleżanki. Zakładanie spłonki, ważenie i nasypywanie prochu, umieszczenie i zaciskanie pocisku — wszystkie te czynności mogła w każdej chwili nazwać pokolei tak, jak po sobie następowały. Bawiła się czasem, przymykając oczy i wywołując w pamięci obrazy tych wszystkich kolejnych prac, które składały się na wykonaniu łuski i naboju.

Ale nie powiedziałem prawdy, twierdząc, że panna Frania myślała tylko o niebieskich migdałach. — Choć nie chciała się sobie samej przyznać, od pewnego czasu myśl jej zaprzętała często młodszy majster z pociskowni, którego ona nazywała „panie Karol“, a koledzy Lolkiem.

Póki była robotnicą, zaledwo sobie pozwalała o nim myśleć — teraz zajmując prawie równorzędne stanowisko, zwracała śmieiej na niego swoje wielkie oczy i chętnie patrzyła na zgrabną młodzieńczą figurę przez obciążniętą siatką ściany, dzielące wielką halę na oddziały.

Ale Lolek mimo, że miał się trochę ku niej — nosił co innego w głowie — mimo reklamacji ze strony fabryki rwał się na bolszewicki front i po długich targach, dyrekcja obiecała mu za parę dni zwolnienie.

Gdy panna Frania o tem się dowiedziała, zaczęła z jeszcze większą sympatją i prawie uwielbieniem spoglądać na „pana Karola“, a kiedy on sam



Chętnie patrzyła na zgrabną młodzieńczą figurę...

zapowiedział jej bliski termin wyjazdu, ledwo wyjąkała prośbę, żeby przyjął od niej na pamiątkę jakąś chusteczkę haftowaną po nocach.

Lolek choć bardzo dziewczynę lubił, trochę się zdziwił i powiedział. — Niech panna Frania lepiej dla rannych coś wydłubie. Mnie tam nic nie potrzeba prócz broni i dobrego słowa.

Panna Frania przygryzając usta żeby się nie rozbeczeć, wróciła do swojego stoliczka i do samego gwizdka medytowała nad czemś głęboko, myśląc się co chwila w zapisach i ocierając ukradkiem oczy.

Wreszcie musiała dojść do jakiegoś postanowienia, bo zachmurzona jej twarz rozjaśniła się.

Przy odbieraniu roboty panna Frania wybrała pięć najczyściej wykonanych krążków ze swej dawnej maszyny, już wyżarzonych i oczyszczonych i ukryła w kieszeni od fartucha. Nazajutrz rano, zanim koleżanka jej przy drugiej zrzędu prasie zaczęła pracować, prosiła ją, aby na pierwszy ogień puściła te pięć krążków. Schwyciła skwapliwie czarki, które wyszły z pod stempla prasy i zaniosiła je do pieca. Poszeptala coś ze starym majstrem, ten kręcił głową i wzruszał ramionami, ale ułożył w piecu na boku sztuki przyniesione przez pannę Franię, a po dobrej pół godzinie wręczył je wyżarzone i jeszcze gorące.

Po oczyszczeniu czarek, w kąpieli z jakichś soli z nalotu, który powstał w piecu, znów prosiła pan-

na Frania o coś wysoką rudą kobietę, pracującą przy prasie; z prasy tej czarki jej wyszły już jako naparstki z wgłębieniem na gniazdo spłonki. Po-tem powtórzyła się wędrówka do pieca i po półgodzin-
nem oczekiwaniu — szeptała już przy innej maszynie. Wszędzie musiała wpraszać się, aby włączono jej sztuki do partji będącej w robocie, czasem z trudnością poznawała swoje łuski mimo robionych na nich znaków. Wszędzie dziwiono się i tylko dlatego, że sama była bardzo koleżeńska i uczynna, ulegano jej kaprysowi. Najgorsze było powtarzające się po każdej niemal prasie wyżarzanie, ale wiedziała, że mosiądz bez tego byłby zbyt kruchy i twardy, aby się dalej wyciągać.

Kiedy na dalszych prasach stalowy stempel wydłużył łuskę prawie do właściwej miary, nastąpiło na nowych maszynach obcięcie brzegów łuski i żłobienie rowka dla utworzenia krezy. Przed wytłoczeniem szyjki górna część łusek została ponownie wyżarzona w piecu.

Przy wielu maszynach sprawdzano wymiary łuski, przykładając lub wkładając wewnątrz stalowe sprawdziany w kształcie płytek z wycięciami lub wałków. Panna Frania gorliwie pilnowała, żeby jej łuski były wszędzie sprawdzone.

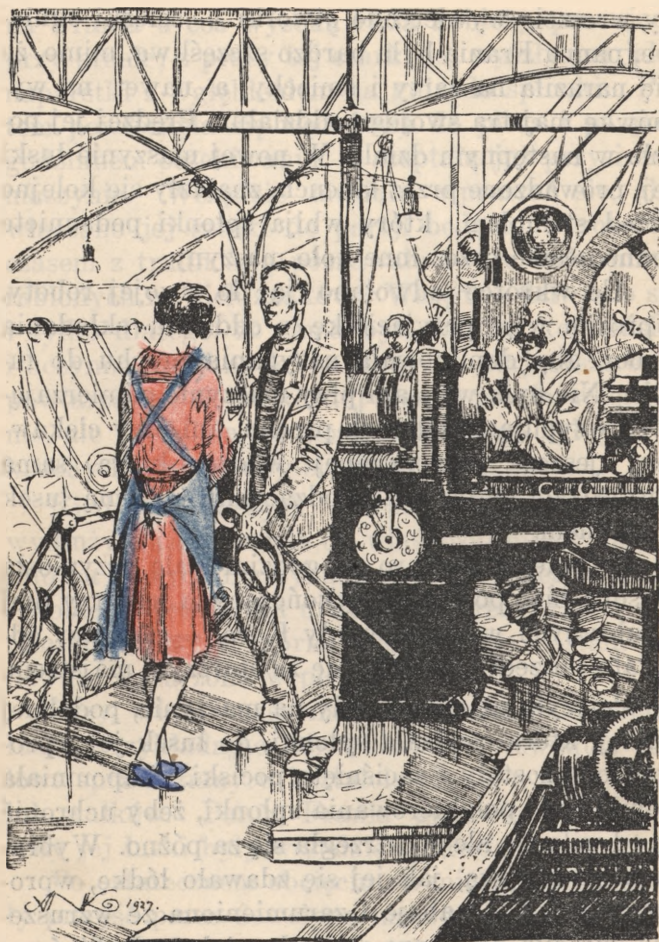
Po ostatecznem obcięciu na miarę łuski musiały przejść przez dowcipną maszynkę, która wprowadzała je do otworu o kształcie komory nabojo-
wej i sama odrzucała te, które nie pasowały. Kie-

dy wreszcie wywiercono otworki — ścieżki ogniowe, panna Frania była bardzo szczęśliwa, mimo, że się naraziła na żarty i śmiechy, a nawet na wymówkę majstra swojego oddziału. Prędejj jej poszło w następnym dziale. W nowej maszynie łuski jej, prowadzone przez łańcuch, znalazły się kolejno przed stemplem, który wbija spłonki podsunięte jednocześnie przez inne koło maszyny.

Ale wkrótce odwołano ją do swojej roboty. Uprosiła więc przyjaciółkę z oddziału składania naboij, aby dopilnowała nasypywania prochu do łusek. Nie była więc ani przy maszynie odmierzającej i wsypującej ładunek prochu, ani przy ciekawszej jeszcze samoczynnej wadze, która sama sprawdzała ciężar przechodzących przez nią łusek z prochem.

Przybiegła dopiero po godzinie, ale przyniosła ze sobą pięć pocisków wykończonych też przy niej i zabranych w czasie kiedy Karol — majster oddziału poszedł pożegnać się ze starszym majstrem.

Patrzyła ucieszona, gdy na maszynie, podobnej do tej, która osadzała spłonki, do łusek jej wprowadzone zostały i zaciśnięte pociski. Zapomniała dopilnować polakierowania spłonki, żeby uchronić ją od wilgoci, ale spostrzegła się za późno. Wybrała najładniejszą, jak jej się zdawało łódkę, wprowadziła w nią naboje i zarumieniona ze wzruszenia, wróciła do swego stoliczka, żeby odrabiać zaległą przez cały dzień robotę.



... Panie Karolu, to ode mnie na pamiątkę ...

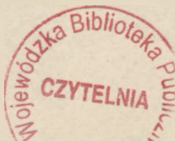
Kiedy Karol przyszedł się z nią pożegnać, dziewczyna czerwieniąc się, podała mu wywojowaną z takim trudem łódkę naboí.

— Panie Karolu, to ode mnie na pamiątkę. Pan mówił, że tylko broń potrzebna i dobre słowo. Sama dopilnowałam..... i..... i niech pana Pan Bóg prowadzi.

Karol z początku się uśmiechnął, ale gdy spojrzał w wilgotne oczy panny Frani, coś go poruszyło, bo powiedział tylko:

— Bóg zapłać — panno Franciszko, dziękuję — pocałował dziewczynę niezgrabnie w rękę i wybiegł z hali.

Karol jeszcze nie wrócił z wojny. Jest już plutonowym. Naboje, darowane przez pannę Franieę wystrzelał w czasie odwrotu z pod Równego, gdy mu zabrakło amunicji, ale łuski pozbierał i nosi je przy sobie, jak jaki talizman. I choć koledzy mu dokuczają, nie stroi żartów ze spotkaniami dziewczętami, jak dawniej w fabryce. Czasem, maszerując na czele plutonu, zamyśla się trochę i wtedy zdaje mu się, że widzi wielkie czarne oczy panny Frani.



SPIS RZECZY.

Dobra wróżka	3
Rdza na obsadzie	19
Przygoda Wąłka	29
Dlaczego Janek Ciecierski chciał służyć w pie- chocie.	39
W fabryce broni	45
Podarunek panny Frani	55

CZYTANKI DLA ŻOŁNIERZY.

Cena

1. *Dr. St. Składkowski, gen. bryg.* Pogadanki o zdrowiu żołnierza. Tomik I Biblioteczki Żołnierza Polskiego 0,90 zł.
2. *M. Porwit.* Tajemnica musztry, z 8 ilustracjami. Tomik II Biblioteczki Żołnierza Polskiego 0.90 zł.
3. *A. Bogusławski.* Czytanki żołnierskie prozą i wierszem 1,30 zł.

DO NABYCIA

W GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ
Warszawa, ul. Nowy Świat Nr. 69.

**Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu**

CM 313663



000-313663-00-0

